Rok I. Kraków, 25 marca 1870. Ner 9.



Czasopismo „Kwiaty" wychodzi trzy razy na miesiąc, tojest 5, 15 i 25.

INSERATY
przyjmują się za opłatą 4 centów od miejsca drobnego wiersza (petit) z dołączeniem 30 centów na stępel rządowy, od każdorazowego ogłoszenia.

TREŚĆ:

PRENUMERATA:
roczna . . 6 zlr. = 25 frank. = 4 tal. 15 sgr.
półroczna 3 „ = 13 „ = 2 „ 10 „
kwartalna 1 „ 60 cent.
którą posłać należy pod adresem Redakcji „Kwiatów" ul. Szpitalna L. 404.

Reklamacje nieopieczętowane, nieulegają opłacie pocztowej.

SZKICE
Z ŻYCIA ARTYSTÓW.

(Ciąg dalszy).

Po obiedzie oprowadził Henryk pułkownika po całym pałacu. Był tam w pałacu pokój nazwany pokojem nieboszczyka pana, ubrany dokoła w portrety; był tam portret króla Jana, Batorego i Zygmunta Augusta na jednej ścianie; na drugiej był portret Kościuszki, księcia Józefa i generała Dąbrowskiego; na trzeciej ścianie był rozpięty gobelin, przedstawiający cesarza Napoleona na koniu z całym jego sztabem, w którym Murat i Mameluk Napoleona byli najbardziej malowniczemi postaciami; nad kantorkiem był umieszczony portret ojca Henryka, przedstawiający pułkownika wojsk polskich w galowym mundurze, człowieka pięknego, który zaledwo trzydzieści kilka lat liczył. Z rozrzewnieniem przypatrywał mu się pułkownik przez czas długi.

— Jak żywy — rzekł wkońcu ocierając łzę.

Na dużym marmurowym stole leżała spora teka, była to teka Felicjana, którą w czasie ostatniej bytności swojej zostawił tu w pałacu. Wiemy co w sobie mieściła, a Henryk mówił o niej pułkownikowi już w drodze. W małej niży tego pokoju stało wojskowe żelazne łóżko, a Henryk oprowadzając pułkownika po całym pokoju, zapytał, czy w tym pokoju mieszkać zechce.

— Dobrze — rzekł pułkownik — dziękuję ci.

Tomaszowa dowiedziawszy się w końcu o pułkowniku, że to mąż nieboszczki pani Felicjanowej, wzięła go odrazu całem sercem w opiekę i już od tego czasu niepozwoliła prawie nikomu służyć pułkownikowi, ale służyła mu sama, a on przyjmował bardzo wdzięcznie jej służby, bo mu opowiadała o żonie jego i ostatnich latach jej życia.

Parę tygodni było upłynęło od przybycia pułkownika do Jeleniego-Brodu, a już wiedziała o nim cała okolica, bo objechał z Henrykiem całe sąsiedztwo, wszędzie z uszanowaniem i gościnnością przyjęty.

Dobrze to widział i przepowiadał Węzełek, że Henryk uzyska w sąsiedztwie wzięcie, jak z pułkownikiem do domu swego przybędzie. Pułkownik dyktował bardzo krótkie listy do Węzełka i Felicjana pod jedną kopertą i posełał im pieniądze wystarczające nietylko na ich utrzymanie, ale nawet do przedsięwzięcia artystycznej podróży, gdyby ją zrobić mieli zamiar.

Serdeczne i długie były listy Węzełka, krótkie zimne i niby tylko obowiązkowe, odpowiedzi Felicjana. Pułkownik radził obydwom, aby w czasie lata opuścili miasto, czego szczególniej potrzebę widział dla Felicjana, w obawie o cierpiące jego zdrowie. Dziwiło to jednak obydwu, że sam tych listów nie pisał, że żadnego nawet nie podpisał. Obok zwykłych pozdrowień i krótkich wiadomości, dawał pułkownik w liście Węzełkowi różne zlecenia i sprawunki, i tak żądał, żeby mu przysłał różne nasiona i nasionka, co świadczyło, że się pułkownik ogrodem zajmuje; żądał, żeby mu kupił wszystkie materjały do rysunku z całym przyborem cyrkli i papieru, tek i teczek, co dowodziło, że sobie chce przypomnieć lineowe rysunki, że coś buduje lub restauruje; żądał, aby mu wykupił wszystkie tabakierki i tacki, które Felicjan do magazynu malował, żeby je kazał oprawić w porządne ramki i przysłał mu galerję tych drobnych widoków; ale prosił także, żeby nie zapomniał

o owym pinczu i zegarze z kuźnią, ślufierzem i kowalem, co dowodziło, że sobie miło przypomina czas przy Felicjanie i Węzełku spędzony.

Pułkownik wyprawiał regularnie co niedzielę list do obydwu i kończył każdy list tą samą formułką: „na niebie wiosna, pogodę mamy piękną, moglibyście mnie odwiedzić.“

Tymczasem upływały tygodnie i miesiące, a ani Felicjan, ani nawet Węzełek nie przybywał do Jeleniego-Brodu; co więcej, na ten jeden punkt listów pułkownika nie było w żadnym liście odpowiedzi. Pułkownik domyślał się, że Felicjan nie chce przybyć do domu Henryka i nie wspominał już w swych listach o tem, że odwiedzićby go mogli.

Prócz wizyt w sąsiedztwo, które zwykle razem z Henrykiem po obiedzie odbywał, prowadził pułkownik życie bardzo czynne i z punktualnością wojskową do zegara przywiązane. Potrzeby jego były bardzo proste, a nawet Henryk, który był przywykły do wykwintnego stołu i zbytkowej służby, odmienił znacznie obyczaje swoje i swój sposób życia, a stosując się do pułkownika uczuł się i zdrowszym i nie tyle obarczonym tak zwanemi *les petites misiers de la vie humaine.*

Pułkownik zrzuciwszy płaszcz moskiewskiego sołdata, zmienił wprawdzie od tej chwili surowość i prostotę sołdacką, i wracał niby z każdym tygodniem więcej do zwyczajów, obyczajów, ruchów i nawykłości człowieka wyższego społeczeństwa, ale hart starego wojskowego zachował i kiedy dał rozkaz i zimno spojrzał, wystarczało to dla każdego, aby mu był powolny.

Charakter pułkownika, który miał doświadczenie i wielką praktykę życia, wpływał bardzo szczęśliwie na Henryka, bo rzeczywiście znalazł on w nim prawdziwego przyjaciela ojca, który mu był przewodnikiem w życiu; inaczej też zupełnie począł Henryk przy boku pułkownika pojmować stosunki, w których go postawiła Opatrzność, uprościł swój sposób życia, nabrał gustów ziemianina, zajmował się osobiście zarządem swojego majątku i zbliżył się do ludu, bo pułkownik, kiedy miał tylko chwilę wolnego czasu, odwiedzał ludzi po chatach i brał w opiekę chorych i ubogich.

Czynne życie, które pułkownik prowadził, wprzęgło i Henryka do stałych zatrudnień i ścisłego podziału czasu. Począł wstawać rano, mało siedział w gabinecie, a więcej na koniu; jako gospodarz domu przesłał z grzeczności do pułkownika na dyspozycję murgrabiego i kucharza, a pułkownik dysponował krótkie śniadania i obiady, a z kalendarzem w ręku przestrzegał bardzo dni postnych, wigilij i suche dni, i cały sposób życia zmienił się w pałacu Jeleniego-Brodu.

Kiedy który z sąsiadów nadjechał, trafiał na takie śniadanie i na taki obiad, jaki miał u siebie, znalazł grzeczne przyjęcie i nie czuł się w pałacu ani podrażnionym, ani upokorzonym, więc ponawiał odwiedziny swoje, a ztąd zawięzywały się dobre stosunki Henryka z całem sąsiedztwem, bo nawet damy odwiedzały dom Henryka, nie dla niego, ale dla pułkownika, który był wielkim galantem. dla dam i zawsze o odwiedziny ich prosił; to też kiedy przybyły, wysadzał je z odkrytą głową z powozu, bo pierwszy musiał być zawiadomiony o przybyciu gości, chociaż na śniadanie lub na obiad nie przybyły, umiał je uprosić aby zostały i radził z niemi razem o przystawkach i przysmaczkach z wielką znajomością niewieścich gustów: „No, obiad będzie nie osobliwy, ale za to deser dobry“ — i panie zostawały bardzo rade, a odjeżdżały bardzo zadowolnione, bo jeszcze do powozu dawał im bukiety z najpiękniejszych kwiatów, albo składał je u stóp z galanterją, dziś już nieznaną w świecie.

W pułkowniku widziało całe sąsiedztwo gospodarza domu, a Henryk przychodził do powszechnego poważania w całem sąsiedztwie, bo wszyscy oceniali ten serdeczny stosunek obydwu i widzieli jakie zmiany zaszły w Henryku, który teraz dopiero pojął i ocenił pozycję obywatela, ziemianina, Polaka.

Pułkownik znał się widać na ogrodnictwie bardzo, a jako były inżynier i oficer sztabu, znał się na budownictwie. Zajęciem około ogrodu wciągnął najprzód Henryka do lekkiej pracy, bo mu najprzód wytyczanie kwiatowych parterów, kląbów i robót polecał, za jego to staraniem zmienił się cały główny gazon przed pałacem od strony ogrodu w jeden wielki kwiecisty kobierzec. Cieszyło to bardzo Henryka, bo przyłożywszy po raz pierwszy w życiu sam rękę i staranie do czegoś, widział z pociechą, że wszystko pod ręką rośnie i nabrał gustu do pięknych kreacji.

Objeżdżając z pułkownikiem razem folwarki, odwracał zawsze oczy od opustoszałych lub podupadłych budynków z niesmakiem.

Uważał to pułkownik i rzekł raz do niego.

— Nie odwracaj ócz od pustki, ale przypatrz się jej dobrze i napraw.

— Cóż tu naprawiać? tu trza postawić z nowa.

— Nie — rzekł pułkownik, zsiadł z wózka, dobył z wielkiego pugilaresu składaną miarę, papier i ołówek, kazał sobie dać siekierę: rozpoznał, które podwaliny zbutwiałe, a które zdrowe, rozmierzał własną ręką wszystko, obliczył na karteczce materjał potrzebny na podwaliny, słupy i nowe nakrycie budynku, zapowiedział wieczorem przy dyspozycji sprowadzenie materjału, który był po folwarkach i tartakach przygotowany, zamówił cieśli i toporników, a siadłszy nazajutrz o świcie na koń, zarządził robotę, i pilnował sam tej roboty, dopóki nowych pod budynek nie zaciągnięto tramów, nie wprawiono nowych słupów, nowych przyciesi do ścian, słowem, dopóki zrąb budynku, nie stanął znowu do węgła i cało.

Po jednej i drugiej takiej lekcji nie odwracał już Henryk wzroku od opustoszałych budynków, ale prowadził sam robotę, radząc się zawsze jeszcze pułkownika, który się znał na wszelkim rodzaju budownictwa.

— Bardzo dobrze, że to robisz, to pilniejsze niż zwierzyniec.

Ale i około zwierzyńca szły roboty, któremi pułkownik kierował, i które dopiero zawiesił, kiedy się przybliżyło żniwo, bo choć już daniele i bażanty przybyły, kazał pułkownik bażanty puścić do ogrodu, który był murem obwiedziony, a daniele kazał umieścić w obszernem ogrodzeniu, a w cieniu drzew starych, na pastwisku gdzie się zazwyczaj pasały klacze ze źrebiętami.

Mówił o tem, że ludziom nie trzeba zgorszenia dawać, a grzesznemby było pracować około zwierzyńca, kiedy zboże w polu stoi i wszystko razem nagle dochodzi.

Głównem zajęciem pułkownika jednak była restauracja starej plebanji, gdzie niegdyś żona jego zmarła, i zupełnie podupadłego szpitalu, który stał pusto od lat wielu obok wikarówki i gdzie, jak mówiono, straszyło.

Już w tydzień po przybyciu do Jeleniego-Brodu zajął się pułkownik tą restauracją na koszt własny, za wiedzą księdza dziekana i za zezwoleniem Henryka, który się zupełnie stosował do woli pułkownika, pojmując pobudki serca i ofiarę dla zmarłej żony, w przyniesieniu ulgi dla cierpiących.

Gdy pułkownik po raz pierwszy starą plebanję odwiedzał, pokazano mu pokoiki, gdzie żona jego na łasce księdza Lipskiego żyła i zmarła, a jak to zwykle bywa na plebanji, że sprzęty i graty pozostają nie tknięte na miejscu, tak też znalazły się w dwóch pokoikach sprzęty i graciki wszystkie, które niegdyś nieboszczka jego żona miała, i które stary organista wskazał mówiąc: „Tu na tem łóżku sypiała i zmarła, na tem krzesełku siadywała sobie z robótką w ręku, to jeszcze po niej zwierciadło, i ten krucyfiks po niej został; tu sypiał pan Felicjan, jak był małym, na tem łóżeczku" słowem, stało tu jeszcze na miejscu, jak przed laty, a pułkownik patrzał z rozrzewnieniem na wszystko, znać że zaraz w pierwszej chwili powziął zamiar, wzięcia tych pamiątek w opiekę, odbudowania starej plebanji i szpitala.

Były to stare modrzewiowe budynki, nie tynkowane z wierzchu, więc restauracja była bardzo łatwą; zaciągnąwszy tedy nowe tramy pod te budynki, dawszy nowe podłogi, drzwi i okna, i pobiwszy gontem na nowo, zrestaurowano je zupełnie, i stanęły te dwa budynki umuskane i wybielone tak okazale napowrót, iż ksiądz dziekan mówił żartując, że lepsza teraz stara niż nowa plebanja, a na starość to sam będzie do szpitalu uciekał, tak się tam rozwidniło i rozweseliło wszystko.

Pułkownik miał energję wojskowego człowieka: krótkie dawał rozkazy, a pilnował sam wszystkiego; sprowadziwszy rzemieślników i majstrów, ukończył oba budynki jeszcze przed rozpoczęciem żniwa, zplantował przed niemi dziedzińce i wysypał żwirem, obłożył darniem ścieżki, pod kilku staremi drzewami porobił ozdobne z brzeziny ławeczki, a na starej lipie odnowił kapliczkę i kazał odtąd przed nią palić lampkę, której światło widać było przez noc całą od wsi i od dworu. Sprzęty też i graciki po nieboszczce żonie kazał odnowić i ustawić tak napowrót, jak niegdyś stały. Wszystko było, jak mówię, przed żniwem skończone.

Na Matkę Boską był odpust w miejscowym kościele, i w dniu tym uroczystym miał ksiądz dziekan poświęcić odnowiony szpital, który z całem urządzeniem, jak był pierwotnie założony na dwanaście łóżek, tak teraz napowrót pułkownik swym kosztem odnowił i znaczną sumką wyposażył, oddając go na użytek miejscowych starców i kalek.

W miarę tego, jak te roboty zbliżały się do końca wypogadzała się twarz pułkownika. W całej okolicy wiedziano o tem, jaki sposób życia prowadzi i czem się zajmuje, i w dniu Matki Boskiej zjechało się całe sąsiedztwo na pdpust do Jeleniego-Brodu. Ksiądz dziekan miał sam kazanie o wielkiej czci Matki Bożej w narodzie naszym, która jest źródłem wiary żywej miłosierdzia i miłości bliźniego. Po sumie poświęcił najprzód szpital, a następnie odnowiony budynek starego probostwa i przemówił tu do kalek i starców, którym nowy dobrodziej na przytułek oddaje te domy.

Śniadanie było tym razem zastawione dla gości w dużej sali starego probostwa, a obiad dla kalek i starców dano w izbie stołowej szpitala.

Z wielkiem zbudowaniem asystował lud zebrany temu obrzędowi, a o pułkowniku podawano sobie różne wieści, a to te, że chce zamieszkać w pokojach na starem probostwie, gdzie niegdyś żona jego zmarła, że jakaś blizka jego krewna schodząc bezdzietnie ze świata zapisała mu cały majątek, że wchodzi w kupno tej i owej wioski, że dopiero wówczas syna sprowadzi; słowem wiedziano o tem, że jest człowiekiem majętnym, który tu tylko czasowo przebywa, bo chciał przedewszystkiem pamięć żony poczcić dziełem miłosierdzia, a dopełniwszy tego wotum, osiędzie tu gdzieś na roli, jako pan wielki i gospodarz rządny.

Z uszanowaniem i rozrzewnieniem patrzyli wszyscy na starego żołnierza, który sam ubogim służył do stołu; pani majorowa przyjmowała gości na starej plebanji, a panna Wanda zarządziła obiad w szpitalu i była przy boku pułkownika przez cały czas tej uczty; ksiądz dziekan zaś i Henryk byli gośćmi tylko na tej uczcie, którą pułkownik zarządził. Po obiedzie udało się całe sąsiedztwo pieszo do pałacu i na ogrodowym tarasie wyprawił Henryk podwieczorek. Panowie, z których wielu wierzchem przybyło do kościoła, umyślili panią majorową odprowadzić po podwieczorku do Sarn, więc i pułkownik i Henryk kazał sobie podać konia. Pani majorowa siedziała z córką w odkrytym powozie, który jechał wolno, a pułkownik z całym sztabem swoim otoczył powóz i wesoło szła rozmowa.

U bramy dworu w Sarnach pożegnało całe grono panią domu, jeden tylko pułkownik wjechał w dziedziniec, oddał konia służbie, podał paniom wysiadającym rękę i wszedł z niemi do dworu.

Tu było cicho i spokojnie, jak we wdowim dworze. Wanda odeszła, a pułkownik pozostał sam na sam z jej matką.

Od czasu zabrania z nią znajomości po przybyciu swoim do Jeleniego-Brodu, bywał pułkownik najprzód z Henrykiem razem, a później już sam bardzo często w domu pani majorowej i bardzo serdeczna przyjaźń zawiązała się między niemi. Pannę Wandę zaś polubił pułkownik tak bardzo, iż to niczyjej nie uchodziło uwagi, bo kiedy jej przybycie było zapowiedziane albo w Jelenim-Brodzie, albo gdzie w sąsiedztwie na obiedzie lub wieczorze proszonym, niecierpliwił się pułkownik, gdy pani majorowa z Wandą nie przybywała i spoglądał bardzo często ku drzwiom wchodowym lub przez okno, a nie zdarzyło się, żeby ktoś inny był pierwszy spostrzegł powóz pani majorowej, lub znalazł się przed nim prędzej w ganku, dla podania ręki przybyłej. Przy powitaniu i pożegnaniu całował zawsze Wandę w czoło,

a ona ucałowała zawsze jego rękę i wieszała się zaraz u ręki jego, patrząc mu z przywiązaniem w oczy i wypytując o to lub o owo.

Wanda jeździła konno, bo zastępowała matce syna i była jej pomocą i wyręczeniem w gospodarstwie. Pułkownik tedy towarzyszył jej w tych wycieczkach konnych, i kiedy tylko od zajęć znalazł wolną chwilę, kłusował żwawo gościńcem do Sarn; czasem nie zabawił nad półgodziny, czasem nawet nie zsiadając z konia przed gankiem, zapytał tylko o zdrowie pań, lub kazał służącym to i owo powiedzieć; wszakże gdy się zebrało na słotę, można było być pewnym, że lada chwila pojawi się pułkownik na koniu w Sarnach przed gankiem, bo był pewny, że wówczas nie przeszkodzi ani pani majorowej ani Wandzie w niczem, wówczas to zostawał pułkownik na noc w Sarnach, i bawił nieraz przez całe trzy dni, a wracał dopiero, gdy się niebo wypogadzać poczynało. Miał też pułkownik we dworze w Sarnach przygotowany pokój dla siebie, który Wanda, znając wojskowe gusta pułkownika i będąc sama córką wojskowego, z wielką urządziła prostotą. Na dwóch ścianach były armatury ze zbroi, łóżko żelazne, na nim łosiowa skóra i skórzana poduszka, skóra z dzika przed łóżkiem i przed drzwiami; nad łóżkiem mały krucyfiks; na środku pokoju stół marmurowy, twarde siedzenia w stołkach, zielone firanki u okien, staroświecki zegarek przy łóżku obok pary pistoletów na marmurowej półce; na staroświeckim kantorku była mała kancelarja, a na małym stoliczku z osobna ogień i woda, to jest świeca, zapałki dzban okazały na wodę i szklanka.

Skoro ujrzano, że pułkownik zbiera się, biegł chłopak i nakładał na kominku w pokoju pułkownika ogień, pułkownik też nie zachodził do pań, ale do swego pokoju i bawił tu tak długo, póki pani majorowa lub Wanda po niego nie przyszła. Na kantorku pułkownika leżały dwie teki, w jednej były akwarelle i szkice Felicjana od pierwszych jego robót począwszy starannie zebrane, w drugiej były listy Felicjana do Wandy koleją lat ułożone, od niewprawnej jeszcze ręki do pisania począwszy, na których sam malował małe winietki z kwiatów, aż do listów jego pisanych z Krakowa, Rzymu, Drezna i Wiednia; obok każdego listu znajdowała się kopja listu Wandy, jako odpowiedź lub zapytanie na poprzednie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NA PRZEBŁAGANIE.

Odkąd jednegom obraził z aniołów
Odleciał spokój precz,
I smutek piersi gniecie jak ołów,
I wyrzut kole jak miecz.

Głowę ku ziemi pochylam biedną,
Nieśmiem ci spojrzeć w twarz;
Lecz mnie posłuchaj choć chwilkę jedną
Jeżeli litość masz.

Był człowiek co miał ptaszynę cudną
Cudownie piękną miał,
I tak ją kochał, że bardziej trudno,
Życieby za nią dał.

Raz kiedy pieścił oną jedynę
I z nią rozmowy wiódł,
Strzał pierś mu zranił — i on ptaszynę
Z bólu w swych rękach zgniótł.

Zapytaj luba o to twe serce
Jestże on winny czy nie?
Czy trzeba karać tego mordercę —
A wtedy ukarz mnie.

M. B.

NIEWESOŁY KRAKOWIAK.

Znałem ci ja jedną, jedną jasnowłosą,
Co miała oczęta kradzione niebiosom,
I temi oczami, oczami cudnemi
Ciągnęła mi duszę do nieba od ziemi.
A miała twarzyczkę, że na onej twarzy
Czytałeś jak w książce, co się duszy marzy.
I przyznam się cicho, chociaż to nie skromnie,
Że mi się zdawało, że marzyła — o mnie.
I było mi dobrze i było tak błogo,
Że anieli w niebie lepiej mieć nie mogą.

I trzebaż mi było rzucać szczęście ono,
I zamieniać spokój na burzę szaloną?
Oddać serce całe tej, co serca nie ma,
Jeno umie nerwy łaskotać oczyma,
I krew ogniem burzyć i wietrzyć w rozumie,
Wszystko, wszystko umié; lecz kochać nie umié.
I dla tej wietrznicy zalotnej i zimnej
Jam się wyrzekł mojej gołąbki niewinnej,
I cichych z nią rozmów przed dworkiem na ławie,
Spacerów w ogródku i jazdy po stawie.

Więc znowu do dworku, do stawu i płota,
I do mej gołąbki ciągnęła tęsknota,
Więc tę, co mi serce zmęczyła tak srodze,
Bez przekleństw i żalum porzucił na drodze,
I do mej gołąbki powracam nieśmiele,
I dobrze trafiłem — na samo wesele.

M. B.

MIŁOŚĆ MAŁŻEŃSKA.

(Szkic historyczny).

(Ciąg dalszy).

Glinka uradował się swoją szczęśliwą myślą, ale po chwili zachwiał się w swem postanowieniu. Myśl o przyszłości niedalekiej, w której stanie wobec pani oboźnej jako prosty oszust, myśl, na którą wzdrygnęła się poczciwa natura starca, była szkopułem, zimnem tchnieniem smutnej rzeczywistości, która zwarzyła pierwotne radośne uczucie. Czy cel uświęca środki? zasada ta nie zupełnie przypadała do pojęć uczciwego człowieka, jakim bez zaprzeczenia był Glinka. Jezuityzm panował wówczas w całej swej sile. Bunty kozackie, cokolwiek da się powiedzieć w obronie duchowieństwa katolickiego, bo nie powiem polskiego, gdyż całe postępowanie w takim razie kleru przejęte byłoby duchem tolerancji, tak świetnie udowodnionej przez stan świecki w owych czasach — miały w nim niejedną przyczynę powstania swego, mimo to zasada ta potępioną i odepchniętą była przez prawe umysły. Do takich należał Glinka. Co począć? W trudnem położeniu szuka się zawsze rady, choćby ona miała pochodzić od ludzi młodszego wieku. Glinka zwrócił swe oczy na siostry pani oboźnej, obecnie bawiące w Kamionkach. Odkryć im plan, część winy w przyszłości w razie wykonania zamiaru zrzucić z siebie, znaleźć poparcie moralne a z niem energję w działaniu, było jedyną myślą starego medyka.

Co postanowił to i wykonał. Wojewodzina i starościna przyjęły projekt Glinki jako natchnienie z nieba, pozostawało tylko urzeczywistnić go. Nie było o to trudno. Od czasu do czasu pojawiali się w Komionce zbiedzy Batowscy, zjawił się też jeden w potrzebnej chwili. Zanim został przypuszczony do pani oboźnej, Glinka wziął go do siebie, a wyuczywszy go roli, jaką miał odegrać, przedstawił stroskanej pani. Zbieg wywiązał się dobrze ze swego zadania, zmyślone opowiadanie o klęsce Batowskiej, cudowne ocalenie pana oboźnego od ogólnej rzezi, jassyr, pozostanie przy życiu, było treścią opowiadania naocznego świadka. Trudno nie uwierzyć, zwłaszcza kto tylko potrzebował potwierdzenia swych przypuszczeń. Radość oboźnej nie miała granic— jak najprędsze wykupienie z niewoli męża, było teraz jedynym celem jej życia. Należało wysłać posłańca do Krymu, któryby nie już o prawdzie opowiadania się przekonał, ale żeby wyszukał pana oboźnego, i z hordą traktował o sumę wykupną. Do takiej missji pospolicie służyli kupcy krymscy osiedleni we Lwowie. Ciągłe stosunki handlowe, podróże i bezpieczeństwo, jakiego używali między swemi, czyniły ich najodpowiedniejszymi do podobnych missji, natychmiast tedy wysłano jednego do hordy.

Było to w rok po bitwie Batowskiej, przez cały ten rok trwała boleść i rozpacz pani oboźnej — teraz nadszedł dzień upragnionego szczęścia. Z jakim niepokojem i niecierpliwością oczekiwała powrotu posłańca, z jakimże urokiem stawała przed jej stroskaną duszą chwila, w której nareszcie ujrzy przedmiot swojej miłości, jedyny cel swego życia. Świat nowy i życie nowe miało się z powrotem męża rozpocząć. Takie chwile oczekiwania upragnionego szczęścia, są najmilszemi momentami życia. Stan taki przewyższa samo uczucie ziszczonych nadziei. Tymczasem obok pani oboźnej trapił się wtajemniczony Glinka, powrót posłańca radbył przeciągnąć do nieskończoności, ukazanie się jego miało wykryć fałsz. Oczekiwano tedy wysłanego kupca krymskiego z niecierpliwością z jednej, gdy z drugiej strony nie życzono go sobie wcale. Bądź co bądź Glinka jak człowiek, który wypełnił swój obowiązek, zdał się na los, i czekał skutków swego zmyślenia.

Nadeszła wiosna — z nią wkroczyły na ziemię polską zwykli goście, coroczne zwiastuny rabunku i pożogi — Tatarzy. Na domiar nieszczęścia nadciągnął z kozactwem Bohdan Chmielnicki i począł oblegać Kamieniec Podolski. Jednocześnie z wiosennemi promieniami słońca zawitała na dwór w Kamionkach — radość. Wrócił posłaniec krymski.

Zanim go przypuścił Glinka do pani oboźnej, wziął pierwej do siebie, by naradziwszy się wspólnie z siostrami pani oboźnej, dać mu odpowiednią instrukcję w dalszem łudzeniu nieszczęśliwej oboźnej. Był przekonany bowiem o bezskuteczności poszukiwań swego poległego pana. Lecz jakież nastąpiło zdziwienie, gdy posłaniec nie tylko przywiózł potwierdzenie wiadomości o życiu pana oboźnego, ale nadto przedstawił od niego sygnet, sygnet tak dobrze znany Glince.

Glinka osłupiał. Byłato wiadomość, którą nigdy nie przewidywał, w którą nie uwierzyłby, gdyby nie widział własnemi oczyma, tak pewnego dowodu.

Sygnet rozstrzygał wątpliwość, kazał wierzyć. Do spotęgowania tej wiary przyczyniły się także ówczesne stosunki; nie raz bywało, że szlachcic poczytany za poległego, i o którym żywi już zapomnieli, pojawiał się niespodzianie. Wynikało to z odległości miejsca, dokąd jako jeniec uwieziony został przez hordę, a sprzedany jako niewolnik, marnie kończył resztki życia gdzieś w Azji lub w Afryce. Piśmienne uwiadomienie o pozostawaniu przy życiu trudnem było, najczęściej człowiek wysłany z tych miejsc przez nieszczęśliwego jeńca do kraju, ginął w dalekiej drodze bez śladu. Ztąd często nie ośmielano się twierdzić o pewnej śmierci zaginionych w czasie bitwy.

Liczne są na to przykłady. Po śmierci Władysława Warneńczyka długo krążyła w kraju opowieść, jakoby król prowadził pustelniczy żywot gdzieś w Hiszpanii, o Spytku Melsztyńskim poległym nad Worsklą w bitwie z Tatarami, długo jeszcze po jego śmierci akta królewskie pisały: „Gdyby p. Spytek wrócił kiedy z niewoli....“ Toż samo o Marku Sobieskim, bracie Jana III mówiono: Dotąd nie wiedzieć czy żyje, czy też zginął.

Do tych okoliczności dodamy jeszcze zabobonność właściwą owym wiekom, wiarę w zjawiska nadprzyrodzone, w cudowność, a będziemy mieli przyczyny, dla których Glinka nie mógł nie wierzyć słowom posłańca. Wobec wreszcie sygnetu, dowodu przemawiającego do zmysłów, nie było wątpliwości.

Pan Oboźny żył jeszcze.

Glinka z radością i z pośpiechem niezwykłym w późnej starości, pobiegł do pani oboźnej.

* * *

Glinka przybiegłszy pod drzwi gabinetu pani oboźnej, nagle stanął. Czuł się wzruszonym, drżał na całem ciele, serce biło gwałtownie, chwytał za klamkę, to znów rękę opuszczał, to wodził nią po czole, jak człowiek, któremu naraz różne myśli przychodzą do głowy, a wszystkie nagłe, gwałtowne, bezładne. Wśród tego chaosu w sercu i mózgu Glinka nie miał siły i odwagi obwieścić nowinę pani oboźnej. Wiadomość spadła tak gwałtownie, że nie miał jeszcze sam spokojnego usposobienia na rozpatrzenie się chłodno, rozsądnie w nowem położeniu rzeczy. A jeśli to co bierze za prawdę, jest tylko nowem, mimowolnem teraz łudzeniem oboźnej. Dawniej przypuszczenie prawdopodobnego pozostania przy życiu pana oboźnego łatwo było odwołać, ale teraz gdy postawi się dowody, a rzeczywistość kłam im zada, gdy pewność owładnie tak silnie sercem oboźnej, że stanie się koniecznością i warunkiem jej istnienia, jeśli jej byt i ziszczenie nadziei staną się jedną nierozłączną całością? a gdy nieszczęściem nadzieje runą jak gmachy budowane na lodzie, i pociągną za sobą oboźnę?... Niebezpieczeństwo było teraz groźniejsze aniżeli dawniej. Było się nad czem zastanowić.

Dodajmy nadto, że Glinka był głęboko religijnym. W oczach jego zbytnia rozpacz i żal był występkiem ciężkim przeciwko miłosierdziu Boga. Przekonanie to nie było jego indywidualnym wyrobem, było ono odbiciem i do dziś istniejącego między ludem bezwiednego, bo nie opartego na żadnych wywodach, poczucia moralnego. Moraliści wskazaliby cierpiącej i opłakującej męża, obok obowiązków żony, obowiązki chrześcianki, obywatelki, cierpienia miljonów, i w niesieniu ulgi swym bliźnim, kazaliby szukać lekarstwa na osobistą boleść. Lud nie rozumuje, a przecież anatomę swoją w alegorjach pięknych wypowiada. Komuż nie znane opowieści ludowe o matkach rozpaczających po śmierci swych dzieci, o tych aniołkach co przychodzą z tajemniczego świata pozagrobowego, z dzbankiem pełnym łez matczynych i skarżących na zbyteczny żal matek.

Glinka wahał się, bo w poczuciu religijnem obawiał się nieszczęścia, jako kary Bożej, jako moralista oburzał się na rozpacz oboźnej, jako sługa bolał. Ale raz zdawszy bieg wypadków na los, trudno było się cofać.

Glinka nacisnął klamkę, otworzył drzwi, i znalazł się w gabinecie pani oboźnej.

* * *

Było to wieczorem. W gabinecie pani oboźnej panowało grobowe milczenie, ona sama siedziała na łóżku, zwrokiem zamglonym, obojętnym na świat zewnętrzny, a zwróconym w głąb swej duszy. Przez odemknięte okno wionęło balsamiczne, wiosenne powietrze. Cisza w gabinecie i cisza na świecie przerywana niekiedy lekkim powiewem zefiru, igrającego z zaledwie wykłutemi z pączków listkami drzew, promienie księżyca, tego powiernika niewinnych dumań, ciekawie zaglądały do tego ustronia czystości i cnoty niewieściej, rysując na podłodze siatkę cieni, utworzoną przez żelazne kraty okna. Lampka wieczorna tliła się słabym ogniem, niknąc w jasnem świetle księżyca. Zdało się, że na skrzydłach marzeń spłynął anioł pokoju, i płaszczem tęczowych barw i urokiem rajskich snów, okolił duszę wiernej małżonki.

Tę ciszę, ten spokój anielski przerwał Glinka.

— Mąż mój żyje! — zawołała oboźna.

Glinka w miejsce odpowiedzi podał sygnet, wskazując na stojącego tuż posłańca.

Oboźna porwała sygnet, przycisnęła go do ust, i rzewnym a radośnym płaczem wybuchnęła. Nastąpiły liczne a niecierpliwe zapytania. Kupiec krymski dawał odpowiedzi pożądane.

Nagle Glinka zadrżał, wlepił wzrok w okno, porwał się za głowę i strasznym głosem krzyknął: Ochryszko!

W oknie pojawiła się głowa, głowa potworna, niby głowa Meduzy.

Glinka niby przed wzrokiem bazyliszka zdrętwiał, bełkotał niewyraźne słowa, rękę wyciągnął ku oknu, jakby tajemniczą siłą zamieniony w posąg, nie mógł odwrócić twarzy od widma.

(Dalszy ciąg nastąpi).

To i owo o literaturze Moskali.

przez Cz. P.

(Ciąg dalszy).

Wiadomo powszechnie, że dzisiejszy piśmienny język moskiewski, nie powstał w skutek samodzielnego rozwoju, w skutek wyrobienia się z ludowych narzeczy, jak np. polski, wzrosły z ruszczyzny i narzecza mazowieckiego, ale ukazem Piotra W. złatano ten język z kilku narzeczy z przymieszką języka cerkiewnego i nazwano go językiem państwa. Wprowadzono go do urzędów, do wojska, a następnie wciśnięto w książki, i oto, za carskim ukazem, powstał język piśmienny moskiewski i zakorzenił się w carstwie.

Jakkolwiek dziwacznem i nienaturalnem jest źródło pochodzenia tego języka, bo fantazja despoty, to jednak nie można zaprzeczyć, że język moskiewski, wiele ma siły i dźwięku.

Naród każdy, tworzy sobie język w celu wyrażania pojęć własnych. Czego naród nie pojmuje tego nie wyraża. Ztąd też język, jest cechą charakteru narodowego. Niewolnictwo i spodlenie Moskali, przebija się w ich języku. Nie mając pojęć o ojczyźnie i cnocie, niewyrazili ich w języku, a Piotr W. pominął ten brak przy tworzeniu urzędowego języka. Wyrazów na oznaczenie pojęcia: ojczyzny, cnoty, w języku moskiewskim nieznajdujemy, ale natomiast ogromne spotykamy bogactwo wyrazów na oznaczenie pojęcia: złodziejstwa. O ile sobie przypominam, jest podobno jedynaście wyrazów najrozmaitszych, służących do oznaczenia różnego stopnia złodziei.

Mołdawski książę Kantemir (1708—44), wykształcony na salonach paryskich, jest pierwszym z rzędu pisarzem, znanym w literaturze moskiewskiej. Rzecz szczególna! naród niewolniczy, bezduszny, zaczyna literaturę swoją od satyry, którejby raczej unikać powinien. Książę Kantemir pisał satyry na sposób francuzki, a przykładem swym pociągnął następców, do naśladowania francuszczyzny.

Łomonossow (1711—65) idąc za śladami Kantemira, zapatruje się na wzory francuskie i podług nich tworzy wiersz miarowy, pisząc nim bajki, pieśni, ody, a nawet do epopei i dramatu, zamaczał nieudolne pióro, z pod którego niewytrysło nic, coby jakąkolwiek artystyczną miało wartość. Wszystko to, co Łomonossow napisał, jest rośliną francuską, niezręcznie na grunt moskiewski przesadzoną.

Więcej cokolwiek ciepła i samodzielności, napotykamy w odach Petrowa (ur. 1736).

A. P. Sumarakow (ur. 1718) usiłuje wytworzyć dramat, lecz usiłowania te oparły się na naśladowaniu tragików francuzkich. Z ducha narodowego nie mógł i nie umiał czerpać Sumaraków. Nie mógł, bo nie było mu wolno zaglądać w ustrój społeczny swego narodu, nie umiał, bo niewolnik nie jest zdolnym do samodzielności myślenia.

Katarzyna II otoczona francusko-niemieckiem, lub zfrancuziałem dworactwem, pogardliwie spoglądała na te pierwsze kroki literatury moskiewskiej, i zwykle robiła je przedmiotem pośmiewiska dla swoich ulubionych dworaków. Lecz stanowisko matki Moskwy, jak się chętnie zwała, nie pozwalało jej publicznie objawiać swego usposobienia, więc dla pozyskania popularności, trzeba było choćby pozornie protegować literaturę moskiewską. W tym celu mianowała nadwornym poetą G. R. Derżawina. Jak to pięknie krzmi: poeta nadworny! Derżawin, nie był Tribouletem ani Stańczykiem, lecz był istotnie w całem znaczeniu słowa nadwornym poetą moskiewskiej carycy. Caryca pozwoliła mu, ubóstwiać się w postaci Felicy. Derżawin, niewolnik Moskal, stał się niewolnikiem-poetą. Polot myśli, fantazję, okuł w kajdany pochlebstwa, stawiał carycę na równi z bogami, a za to dostał złotą tabakierkę w podarunku. Poeta nadworny, umiał pięknie się wyrażać, na retoryce mu niezbywało i nią sztukował brak natchnienia poetycznego. Wczytał się w poetów francuskich a Jean Baptiste Rousseau, posłużył mu za wzór poetycznej formy. Derżawin pisał ody, pełne retorycznej nadętości, oda „do Boga“ jest najudatniejszą ze wszystkich. Zadziwia nas tylko okoliczność, że poeta w odzie śpiewa o wielkości Boga, tak samo, i w ten sam sposób, jak w odach na cześć Suwarowa i innych jenerałów moskiewskich, pisanych. Znamy: hymny, modlitwy i pieśni do Boga, z odą do Boga, zapoznał nas nadworny poeta Katarzyny II.

Derżawin, jest na wskróś poetą narodowym co do myśli, co do treści swych poematów, chociaż co do formy jest naśladowcą Francuzów. Pełzanie jego przed carową, ugięcie myśli człowieka-obywatela, przed ideą caryzmu, dążenia zaborcze do panowania nad światem, schlebianie urzędowym wielkościom; oto cechy prawdziwie narodowego poety moskiewskiego, bo to wszystko jest charakterem narodu. Poety z innemi pojęciami, nierozumiałby ten naród niewolników. Derżawin odzywa się do Moskali, w jednym ze swych poematów: „O ty do piorunu podobny narodzie, umiesz pogardzać śmiercią i trudami. Jesteś potężny, wielki, znakomity, bo tylko jednego nad sobą masz pana; jednego pana, władcę, ojca, cara. Poddany, uległy rozkazowi pana, bronią — twą wiarę rozniesiesz w świat cały. Bóg z tobą, car nad tobą, więc niczem traktaty! Moskwo — krok postaw jeden, a cały świat będzie twoim!“ Oto słowa, godne nadwornego, narodowego poety moskiewskiego! A czy słowa te, można lekceważyć?? Niech na to odpowie historja caratu od czasów Derżąwina, aż do dni naszych.

(Dalszy ciąg nastąpi).

TEATR.

Z kilku ostatnich przedstawień, podnieść nam wypada przedstawienie po raz pierwszy komedji Aleksandra Dumasa (syna) p. t. „Demi-monde,“ w tłomaczeniu „Półświatek“.

Komedję tę, która po raz pierwszy przed dwunastu laty w teatrze „Gymnase“ w Paryżu się pojawiła, przetłomaczył na język polski Aleksander hr. Przezdziecki, stworzywszy wyraz „Półświatek“ na oznaczenie tytułu sztuki „Demi monde.“ Nie wiemy, jak się to stało, że na afiszu figurował W. W., a nie hr. Przezdziecki.

Autor wprowadza nas w towarzystwo, złożone z kobiet zepchniętych ze stanowiska kobietom odpowiedniego, upadłych moralnie, materjalnie zrujnowanych, a usiłujących wszelkimi środkami podnieść się z upadku i zatrzeć ślady przeszłości.

Baronowa d' Ange, niegdyś poufna margrabiego de Thonerins, jest po prostu lekką Zuzanną, która dla zatarcia śladów przeszłości, przybiera tytuł wdowy, choć nigdy nie miała męża, i nazwisko baronowej d' Ange, do którego nie ma najmniejszego prawa. Nie dosyć dla niej, skryć się z przeszłością pod przybrane nazwisko, jej trzeba koniecznie męża, ażeby ukrycie swoje zabezpieczyć. W tym celu baronowa d' Ange zastawia sidła na młodego i niedoświadczonego oficera francuskiego Rajmunda de Nanjac. Rajmund zakochany, nieodstępując Zuzanny, wchodzi w towarzystwo półświatka, w którem podobne jej, znajduje kobiety; lecz miłość zaślepia go zupełnie, i nie pozwala rozpoznać okoliczności, w jakich się znajduje.

Przypadek zaprzyjaźnia go z p. Olivier de Jalin, majętnym człowiekiem, który żyje w towarzystwie dam półświatka w tym celu jedynie, aby je dowcipem smagać i bawić się kłopotem smaganych. Olivier ostrzega Rajmunda, wykazuje mu niewłaściwość stosunku z baronową d' Ange. Przebiegła pseudo-baronowa, z całą zręcznością kobiety walczącej o swą przyszłość, o stanowisko w świecie, niweczy przestrogi Oliviera, a nawet do tego doprowadza, że Raj-

mund wyzywa przyjaciela na pojedynek, stając w obronie baronowej.

Baronowa pragnie śmierci jednego z przyjaciół. Jeżeli zginie Olivier, zaginie z nim tajemnica jej przeszłości, jeżeli Rajmund zginie, zostanie Olivier, którego o miłość ku sobie baronowa posądzała. Tak więc, jeżeli jeden z nich zginie, baronowa pawną może być małżeństwa z pozostałym przy życiu. Olivier wraca, opowiada o śmierci przyjaciela, wyznaje baronowej swą miłość, baronowa rzuca mu się w objęcia, a Olivier serdecznie śmiejąc się, usuwa ją od siebie, aby się zwrócić do Nanjaca, który nie zginął w pojedynku, lecz za radą Oliviera przybył niepostrzeżony do mieszkania baronowej i był świadkiem sceny, w której Olivier udanem wyznaniem miłości, sprowadził baronową w swoje objęcia. Ten podstęp Oliviera, odkrył: nikczemnie udawaną miłość baronowej dla Rajmunda i wyleczył go z zaślepienia.

Gdyby kobiety półświatka, usiłujące zatrzeć swą przeszłość, działały z uczciwych popędów; gdyby czując upadek swój moralny, z pobudek moralnych podnieść się usiłowały z upadku, natenczas stanowisko Oliviera, który podnoszące się spycha napowrót w przepaść, co najmniej byłoby niechrześciańskiem. Jednak, baronowa d' Ang, nie działa w uczciwej wierze. Pobudką do zatarcia przeszłości, jest dla niej nie poczucie moralne, nie skrucha pewna, ale interes, próżność, chęć zemsty. Z tego powodu Olivier przedstawia się nam, jak anioł opiekuńczy cnoty i uczciwego serca, obsaczonego nikczemną intrygą.

Śród tych brudów półświatka, jaśnieje szlachetnością charakteru i zacnością serca młodziutka Marcela de Sancenaux, którą Olivier poznawszy dokładnie, chroni od upadku.

Cała tkanka komedji, osnutą jest artystycznie, z taką znajomością serca ludzkiego, z taką elegancją i dowcipem djalogu, z tak gruntownem pojęciem scenerji, że istotnie zachwycić się nią można.

Wykonanie tej sztuki, wypadło nader szczęśliwie. Jedno tylko zarzuciłby można, a to cokolwiek za mało życia w djalogach i szybkości w zawiązywaniu tychże. Okoliczność tę usprawiedliwia brak personalu. Jedni i ci sami artyści, zajęci w każdem przedstawieniu, nie mogli, nie mając odpowiedniego czasu, usunąć tej, zresztą nie wiele czuć się dającej, ujemnej strony przedstawienia. P. Benda w roli Olivier, zachował w całości równowagę uczucia z reflleksją, cechującą charakter Oliviera. W grze pana Bendy szczególniej w komedji, napotykamy zawsze pewną wymierność, plan naprzód obmyślany, panowanie nad sobą, dozwalające artyście jak najdokładniej wycieniować przedstawiany charakter. P. Benda studjuje charakter, jako znakomity psycholog-anatom, a przedstawia go, jako pełen natchnienia artysta. W dramacie, p. Benda pozwala się czasami porywać uczuciu, traci zimną krew i popada w patetyczność. Pani Hoffmann w roli pseudobaronowej d' Ange, była tak naturalną, z taką prawdą przedstawiała tę postać upadłą, przewrotną, a w przewrotności cyniczną, że istotnie widz mimowoli zapomnieć musiał, że jest w teatrze, a sądził, że przypadkiem znalazł się w towarzystwie damy demimonde paryskiego. Pan Ładnowski (syn) w roli Rajmunda de Nanjac, pani Borkowska, państwo Wolscy, pan Eker i benefisantka p. Bauman, wywiązali się z zadania ku zupełnemu zadowoleniu publiczności.

W końcu usprawiedliwić się musimy z tego, że nadmieniwszy obszerniej o p. Bendzie i pani Hoffman, o innych artystach, tylko ogólnikową, ryczałtem zrobiliśmy wzmiankę.

W sprawozdaniach naszych, koleją rozbierzemy talenta naszych artystów, korzystając z tej sposobności, gdy nam każdy z artystów w wybitniejszej, swemu talentowi odpowiedniej ukaże się roli. W komedji „Półświatek“ najwybitniejsze role przypadły panu Bendzie i pani Hoffman. Im zatem poświęciliśmy słów kilka, czekając miłej sposobności, pomówienia o innych artystach.

Cz. P.

SZARADA.

Z dwojga słów się składa.
Pierwsze liczbę zapowiada,
A drugie bywa i brzydkie i śliczne,
Śmiejące, szlachetne, ot słowem: rozliczne.
Zaś wszystko, miejsca znane w całym świecie
W nich dużo ludzi mieszka. Resztę już zgadniecie.

OD REDAKCJI.

Z dzisiejszym numerem, kończy się 1szy kwartał naszego wydawnictwa.

Nie naszą rzeczą wdawać się w ocenę „Kwiatów,“ lecz tyle na pochwałę własną wypowiedzieć nam wolno, żeśmy się nieminęli z programem, o ile szczupłość ram naszego pisma wypełnić go dozwalała.

Illustracje i mody, dopiero od lipca wprowadzić będziemy mogli, a to z powodu, że odpowiednie stosunki z zagranicą co do mód, albo z początkiem, albo tylko w połowie roku zawięzywać można.

W przyszłym kwartale podamy czytelnikom między innemi: „Dokończenie Szkiców z życia artystów“ przez W. Pola. „Miłość bez romansu i romans bez miłości,“ powieść M. Bałuckiego. Tłomaczenie dramatu pana Sardou „Ojczyzna.“ Szkice naukowe Dra W. Seredyńskiego. Niedrukowane dotąd nigdy poezje Z. Krasińskiego. Obok tego będą już korespondencje,— na których nam obecnie zbywało.

Upraszamy o wczesne nadesłanie przedpłaty, abyśmy mogli uregulować stopę nakładu. Warunki przedpłaty, znajdują się na czele pisma.

Czesław Pieniążek odpowiedzialny redaktor, właściciel i wydawca.

W. hr. Bobrowski współredaktor.

W Drukarni „CZASU“ *W. Kirchmayera.* Rządzca Drukarni *Józef Łakociński.*